

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

— I jaki ten Jasio dobry — rozczulała się — trzeba mu podziękować. Jak myślicie? Możebyśmy poszli dzisiaj do nich.

— Ja nie — odezwała się Irena ostro.

— A to dlaczego? — zdziwiła się matka — przecież wuj nietylko Romciowi, ale i nam wszystkim zrobił dobrodziejstwo, wystarawszy się o posadę.

— Niechże Romek dziękuje, ale dlaczego my, gdy ciotka nie była u nas.

— Przecież była, czy nie słyszałaś, co mówił wuj?

— Słyszałam, ale nie wierzę. Mogła zostawić kilka słów u portyera... mogła powiedzieć numerowemu. Nie myślę narzucać się im.

— Romciu, cóż ty na to? — spytała matka, uznając w duchu słuszność słów Ireny.

— Zdaje mi się, mam, że wystarczy, gdy sam podziękuję wujowi.

— Jeśli takie wasze zdanie, niech będzie na waszem, chociaż moim zdaniem za dobre serce należy mu się wdzięczność, bez tych zastrzeżeń formalnych. Kiedy pójdziesz do niego?

— Dziś, mam... Czy jesteście po obiedzie?

— Czekaliśmy na ciebie; a gdybyśmy poszli do restauracji tańszej — mówiła matka — zawsze to oszczędniej.

— Mówiono mi o tańszej restauracji, pójdziemy. Widać, że rodzina mamy posiada pewną, charakterystyczną dziedziczość — zaśmiał się.

— Jaką, Romciu?

— Oszczędność! Wczoraj wuj przy każdej sposobności zwracał moją uwagę na to, jak oszczędni są Krakowianie.

— Romek, w czym? — spytała Irena rozbawiona.

— Targują się o pianę na piwie, nie dają napiwków, nie płacą za przechowanie paltotów... i tym podobne drobnostki.

— Tak, to oszczędność — powiedziała matka stanowczym głosem — wam się zdaje, że oszczędność groszowa niema znaczenia, ale pomyśl, ile napiwków płaci się w Warszawie, po dwóch, trzech dniach możnaby mieć za nie dobry obiad.

— Może, mam, ale chodźmy już, głodny jestem.

X.

Do numeru Czajkowskich w sobotę popołudniu, około pół do szóstej, zapukano i nie czekając odpowiedzi, otworzono drzwi szeroko. Stała w nich dość obfitych rozmiarów pani radczyni Terlikowska, wołając z rozjaśnioną twarzą:

— Nareszcie zastałam cię, Sabinko — i wtoczyła się po pokoju, rzucając ciekawymi oczyma na wszystkie strony.

— A! Paulisia!... i Klimcia kochana — wstała Czajkowska z krzesła, ażeby pocałunkiem przywitać przybyłe — co za miła niespodzianka... siadajcie, proszę — wskazywała krzesło i fotel. — Irenko! Ciotka przyszła z Klimcią.

Z drugiego pokoju wyszła Irena i uprzejmie się witała.

— Ty wiesz, Sabinko, byłam u ciebie, a raczej byłymy i właściwie od was należała nam się wizyta... ale myślę sobie, czy to my będziemy się liczyć z wizytami?

— Jestem ci bardzo wdzięczna, Paulisiu, jak zawsze jesteś dobra i kochana. Nie przychodziliśmy, nie chcąc wam przeszkadzać.

— Co za ceremonie, ciotku — uśmiechnęła się Klimcia — w popołudniowych godzinach jesteśmy zawsze w domu, chyba że zajdzie coś niespodziewanego. Jakże Kraków, Irenko?

— Ładny, ale zamało go poznałam.

— Władysław oprowadzał was już po sercu Krakowa, po rynku... dlaczegoż nie umówiłaś się Sabinko z nim o dalsze oprowadzanie? On jedyny do tego... Gdy przyjechały nasze znajome ze Lwowa, nie mogły się dość nachwalić Władysław za jego dowcip, humor i znajomość historii zabytków.

— A tak, Władzio ma dar konwersacji — chwaliła ciotka — i taki dobry, z takim taktem...

— Dobre wychowanie tylko z domu się wynosi, a ja sama czuwałam nad Klimcią i Władysławem.

Czajkowska, widząc obie tak wystrojone, gdyż radczyni miała na sobie kostium ciemno-wisniewy, brylantowe kolczyki i takąż broszkę, zaś Klimcia białą, bardzo ładną suknię, spytała:

— Czy wybieracie się na zabawę?

Tego pytania czekała widocznie radczyni, bo zaczęła mówić szybko, z twarzą rozjaśnioną:

— Właściwie nie idziemy na żaden raut ani na zabawę...

— Byłoby to zresztą za wcześnie — zrobiła uwagę Klimcia z miną pouczającą — co najwyżej na *five o'clock* możnaby iść o tej porze.

— Tak, masz słuszność Klimeczko, otóż nie jest to ani *five o'clock*, ani raut, bo byłoby za wcześnie, jak słusznie zauważyła Klimcia, ale idziemy do teatru.

— Często bywacie?

— Dwa razy na miesiąc, każdej soboty po pierwszym i po piętnastym.

— Dlaczegoż w sobotę — uśmiechnęła się Irena.

— Wiesz Irenko — tłumaczyła Klimcia — każdej soboty jest w naszym teatrze premiera, dlatego idziemy.

— Każdej soboty? — zdziwiła się Czajkowska — tak często?

— Biedni aktorzy — odezwała się Irena — w każdym tygodniu muszą się uczyć nowych ról.

— Tego nie wiem, nie znam aktorskich zwyczajów — uśmiechnęła się ironicznie Klimcia — ale jeśliś ciekawa, Władzio cię objaśni, bo zna się z teatrem.

— Klimciu! — upomniwała matka — nie obmawiaj brata, może ktoś pomyśleć, że on się wdaje z aktorami, a to chłopiec niewinny, tylko lubi teatr.

— No, i kulisy — zaśmiała się złośliwie Klimcia — i nie wiem, dlaczego mama tak go broni, przecież tam bywa cała arystokracja.

— To prawda, on zna się z najwykwintniejszą młodzieżą.

— A co dzisiaj za premiera? — spytała Irena.

— Dzisiaj?... Klimeczko, nie wiesz?

— Nie pamiętam mamusi, zresztą dowiemy się w teatrze.

— Jaktol? — zdziwiła się Irena — więc ty nie wiesz co dają? kto gra? i idziesz do teatru, Klimciu?

— Czego się ty dziwisz? — uśmiechnęła się z wyższością — czy jestem krytykiem teatralnym? Idziemy, bo w sobotę zbiera się elita towarzystwa krakowskiego. Spotyka się znajomych, poznaje się nowych, jest to *rendez-vous* towarzyskie, tylko zamiast salonu, teatr, zamiast krzesel, łoża.

— Wy chodźcie do łoży, Paulisiu? — spytała Czajkowska.

— Tylko do łoży, bo wiesz Sabinko, trudno z panną gnieść się w krzesłach. Bóg wie, jakie może być sąsiedztwo... zresztą, stanowisko męża wymaga tego.

— No, tak, zapewne... a łoża u was drogie w Krakowie?

— Jak jakie. My chodzimy tylko do parterowych... Klimeczko, a którą łożę mamy dzisiaj?

— Dziewiątą mamusi. Bardzo przyjemna łoża... widzi się cały teatr.

— O tak, to dobra łoża, a kosztuje osiemnaście koron siedemdziesiąt halerzy. Prawda, że droga — westchnęła — ale tak wypada... Gdzież poznać ludzi, jeśli nie w teatrze, na koncertach i balach? Maie już to nie bardzo bawi, ale niech Klimeczka użyje póki młoda, a ona przepada za sztuką.

Irena i Klimcia zaczęły rozmawiać o teatrze, a radczyni spytała ze współczuciem:

— Kiedy przeprowadzasz się, Sabinko? Gnieść się w takich ciupkach hotelowych, płacić drogo i nie mieć żadnych wygod, to okropne. Ja nie mogłabym wyżyć. A ty Sabinko?

— Naturalnie, że mi ciężko — westchnęła — mniejsza o niewygody, ale tak dużo kosztuje. Jedyną moją pociechą, że Romek dostanie posadę, dzięki pocziwemu Jasiowi, któremu nie wiem, jak mam podziękować.

— O, on jest wyjątkowy człowiek — chwaliła radczyni męża — inny nie zatroszczyłby się o biednych krewnych, a Jasio nie żałuje fatygi, czasu, którego ma tak mało, byle pomódz krewnym. A gdzie Roman?

— Poszedł przejść się, przykrzy mu się tutaj... Moja Paulisiu, byłam w kilku kantorach szukając służącej, ale są niemożliwe... albo wprost ze wsi, albo z ogromnymi pretensjami. Poradź mi, gdzie szukać?

— Tylko nie w kantorach — zdecydowała radczyni — można albo u św. Zyty, albo u Pelczarek. Tam zdarza się, że można znaleźć jaką taką, przynajmniej są pobożne. Tylko u św. Zyty wymagania ogromne, a służące marne i pretensjonalne, a u Pelczarek niema wyboru, przyjmują i polecają każdą, która im się wysłuży i jest pobożna.

— Co to za jedne Pelczarki?

— Nie wiesz — zdziwiła się — to zakonnice, utrzymujące pensjonat dla pań przejezdnych.

— Więc gdzie szukać służącej — dopytywała się Czajkowska — jeśli i tu i tam są niedobre?

— Najlepiej przez znajomą służącą. One znają się między sobą i wyszukają odpowiednią.

— To zupełnie jak w Kielcach lub Piotrkowie — uśmiechnęła się Czajkowska — myślałam, że tu są dobre biura.

— O, przepraszam cię, Kraków to Kraków, nie jakaś dziura prowincjonalna. Czy macie wy Pelczarki? Dawniej i Niemki dawały dobre służące ale teraz zhardziały.

— Jakie Niemki? — zdziwiła się.

— To zakonnice Miłości Bożej; same szwabki, mają szkołę i pensjonat dla dziewcząt.

— I kto tam posyła dzieci?

— Kto? To są dziewczynki z porządnymi domów, a ponieważ nie wolno tam i słowa powiedzieć po polsku, doskonale wyuczają się niemieckiego języka.

Ten system wychowania wydał się Czajkowskiej tak przykrym, że zawołała oburzona:

— Ależ wy dobrowolnie germanizujecie dzieci... przecież nauka w obcym języku, zwłaszcza początkowa, jest ogólnie potępiona. To męczarnia dla dzieci pomijając już względy narodowe.

Radczyni uśmiechała się ironicznie i bawiąc się wachlarzem, mówiła tonem łaskawej nauczycielki:

— Wy tam jesteście powaryowani na punkcie polskości i waszą miarę przykładacie do nas. Moja kochana, u nas język niemiecki jest bardzo potrzebny.

— Dla dziewcząt!? Gdzie? Kiedy? na co? po co? — podniecała się Czajkowska.

— Tak, dla dziewcząt... Niektóre mogą wstąpić do urzędu...

— Przecież u was urzęduje się po polsku.

— Pozwól mi Sabinko skończyć — mówiła obrażona — u nas n. p. na kolei wszystko po niemiecku. Zresztą dziewczyna może wyjść za męża, a jej mąż może być przeniesiony do Wiednia i przyda się jej język niemiecki.

— To nauczy się później, ale dla kilku wyjątków cierpieć w Krakowie szkołę germanizującą, to wstętnie.

— Tylko dla was — zadrwiła — dość powiedzieć, że sam magistrat daje tym zakonnicom zapomogę roczną, a inspektor szkół wydziałowych posyłał tam swoje dwie córki.

— Teraz ja was nie rozumiem — mówiła chmurna Czajkowska — Poznańskie gnębią Niemcy, Śląsk nam wydierają, są naszymi wrogami najgorszego gatunku, a wy popieracie germanizację i dopłacacie.

Podniesiony głos Czajkowskiej zwrócił uwagę dwóch panien i Klimcia spytała grzecznie:

— Mamusi, o czym mowa?

— O tych zakonnicach niemieckich... Sabinka oburza się najniesłuszniej.

— Zgadza się z ciotką — zawyrokowała Klimcia — czy wie mamusia, onegdaj opowiadała mi Zosia, że za to, iż jej mała siostrzyczka mówiła po polsku, musiała w ustach trzymać brudną ścierkę. To oburzające!

— Klimeczko, nie powtarzaj plotek — upomniwała matka — jeśli twój ojciec, taki dobry Polak, a chwali tę szkołę, jeśli sam nawet hrabia w radzie miejskiej przemawiał za subwencją, ażebyśmy nie byli podobni do gnębieli, a okazali się szlachetnymi i przebaczącymi, jak głosi ewangelia... to powinno ci wystarczyć, abyś uznała, że niemiecka szkoła jest tu potrzebna.

— To jakaś wyższa polityka, której nie rozumiem — odezwała się Irena z uśmiechem ironicznym, który podrażnił radczynię i rzekła surowo:

— Nie omyliłaś się, to nasza polityka, nie drażnić rządu, który nam sprzyja i nie dać powodu do skargi na nas.

— Lecz narodu duch zatruty... — szepnęła półgłosem Irena.

— Co powiedziałaś? — spytała radczyni, patrząc badawczo.

— To słowa poety o zatruciu.

— A to co innego... o czym to mówiliśmy przed tą szkołą?

Wszedł Roman, a dowiedziawszy się, że obie panie idą do teatru, mówił z ożywieniem:

— Wróciłem do domu wcześniej, bo chciałem namówić mamę i Irenkę do teatru. Dają komedię Wilde'a, a on zawsze dobry.

Radczyni z córką porozumiały się oczyma; obawiały się, że krewni zechcą korzystać z ich łoży, a Terlikowska powiedziała:

— Jaka szkoda, że zaprosiłam już do naszej łoży moją przyjaciółkę, mogłaby była Irena pójść z nami

— Dziękuję cioci, ale nie lubię łoż, jest się zbyt na widoku.

— Romciu, ten teatr to zbytek, a nam nie wolno wyrzucać pieniędzy — upomniwała matka.